TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Zdzisław Broncel
Aleksander Janta
Karol Kleszczyński
Zygmunt Klingsland
Józef Wittlin
Tadeusz Zajączkowski

Vol. 2 Nr. 26 (78) Nowy Jork, 25 czerwca -- New York, 21, N. Y., June 25th, 1944 Cena 15 ct.



Wódz naszego bohaterskiego Drugiego Korpusu, zwycięzca z pod Monte Cassino generał Anders i wódz Francji Walczącej generał de Gaulle.

Wszyscy na całym świecie Polacy są dziś zwróceni myślą ku Drugiemu Korpusowi wyrąbującemu sobie bohatersko drogę z ziemi włoskiej do Polski, ku brzegom Normandji, któremi wolność powraca do Francji, aby pójść przez całą Europę. Chwila ta jest chwilą hołdu dla wszystkich tych, którzy ją gotowali, dla tych przedewszystkiem, którzy oddali życie za dziś powracającą wolność. Cześć im wszystkim! Cześć poległym pod Monte Cassino bohaterom, którzy spoczęli zdala od Ojczyzny ale których pamięć żyć będzie w Polsce na wieki.

KREW NASZYCH ŻOŁNIERZY

Doszła nas temi dniami cyfra poległych pod Cassino naszych żołnierzy daje nam miarę ofiar, które w tej bitwie nasze wojsko poniosło dla wspólnej sprawy; kilka nazwisk doskonałych Polaków padłych wśród innych uświadamia nas jak bardzo nas te ofiary ubożą nietylko w ilość ale i w jakość; świetne zwycięstwo polskie, napewno największy tryumf polskiej broni w naszym wieku zostało okupione bardzo wysoką ceną krwi polskiej najdroższej, krwi tych, którzy dobrowolnie narażają życie niczego nie chcąc szczędzić Ojczyźnie i za nic nie żądając od niej zapłaty.

Pan Prezydent Roosevelt o tych właśnie napewno najlepszych Polakach, o Polakach z kraju i o żołnierzach z pod Cassino myślał gdy w piśmie do naszego premjera tak wymownie podkreślał wartość naszego udziału we wspólnej walce o wolność; wobec tak wyraźnej w ostatnich czasach skłonności pewnych kół opinji do przemilczania, lekceważenia i nawet nie uznawania tej nieustannej i tak heroicznej wojny polskiej z Niemcami oświadczenie Prezydenta Roosevelta jest szczególnie ważne i cenne.

Jest w istocie rzeczą godną zadumy, że owa jednomyślna ofiara całego narodu, ofiara nie znająca wahań i wyjątków nie zapewniła nam miejsce w tej wojnie jakie się nam należy, jakie naprzykład w poprzedniej Belgja zdobyła sobie decyzją króla Alberta i szlachetnym swym choć jakże krótkotrwałym oporem. Jest to ciężki wyrzut dla dzisiejszego świata owe tak częste w ostatnich czasach ataki na Polskę, oszczerstwa skierowane przeciw Polsce, która nietylko pierwsza walczyła z Niemcami, ale walczy też po dziś dzień cała, bez wyjątku, bez ustanku i walczy jak pod Cassino nie o naszą tylko wolność, ale o powszechną.

Cztery tysiące polskich i to jakich, żołnierzy padłych pod Cassino może nie byłoby to tak wiele, gdyby chodziło o wielką wielomiljonową armję, jeśli chodzi o nasze wojsko stworzone z tych, co cudem z kraju zajętego uszli, aby bić się dalej, ubytek tych żołnierzy, prawdziwego kwiatu naszej młodzi jest stratą nie do wyrównania; ;gdy pomyśleć jak Niemcy mordują naszych uczonych i specjalistów, jak niszczą naszą młodzież w kraju, rozumie się dopiero w pełni, że Polska poświęca dla wspólnej sprawy wszystko, ponadto co od niej można wymagać, ponadto naprawdę co może,

Kto zetknął się bezpośrednio lub listownie z naszym wojskiem we Włoszech wie, że wojsko to, jak wszystkie przed niem powstańcze armje, wszystkie legjony jest to armja ideowa walcząca nietylko z dobrej woli, ale z najmocniej, najbardziej świadomej woli; żołnierze generała Andersa tak nieustraszeni, tak zaprawieni we władaniu wszelką nowoczesną bronią są to przedewszystkiem świadomi obywatele Polacy zdolni nietylko śmiercią swą ale i życiem świetnie jej służyć; owe szeregi żołnierskie tak karne, z takim poczuciem równości idące na śmierć jest to sztab inżynierów, doktorów, uczonych jakże potrzebnych, jakże niezbędnych dla Polski w dni jej odbudowy. Parę dni temu czytaliśmy ze wzruszeniem, że żołnierze ci zdawali maturę na froncie, że przygotowywali się do niej na patrolach; iluż z tych maturzystów padło wpośród owych czterech tysięcy, którzy trupami swemi wymościli aljantom drogę do Rzymu.

Jak kraj cały i to wojsko podjęło bezprzykładną i niczego nie szczędzącą wojnę z Niemcami nie w porywie szalonego romantyzmu ale na podstawie wyższego rachunku, nakazującego poświęcić wszystko dla najważniejszego: dla wolności, dla całości, dla niepodległości Ojczyzny; podstawą tego rachunku było przeświadczenie, że wolność tylko własną krwią okupić można, że wolność zdobywa się a nie dostaje. Kraj i wojsko wystawiły ów rachunek polskiego udziału w tej wojnie, któremu żaden inny nie dorówna cyfrą zamordowanych w walce podziemnej i stosunkową cyfrą walczących i poległych żołnierzy; najpierwszym i najświętszym obowiązkiem naszego rządu jest dopilnować rzetelnej spłaty tego rachunku. Tą spłatą może być tylko wolność, całość i niepodległość Polski i takie jej zabezpieczenie, któreby raz na zawsze położyło kres biologicznemu niszczeniu naszego narodu; jest rzeczą naszego rządu wynaleźć sposoby uzyskania tego zabezpieczenia naprawdę, zabezpieczenia opartego nie o słowa i nie o obietnice, ale o realne fakty i prawdziwe gwarancje. Nie może być innego uczczenia polskiego bohaterstwa, innego hołdu dla poległych pod Cassino jak dopełnienie tych zobowiązań, jakie świat powziął wobec Polski formalnie i moralnie, które niedwuznacznie zawarte są w Karcie Atlantyckiej w Czterech Wolnościach i które wynikają z samego pojęcia Narodów Zjednoczonych z samej idei wojny z Niemcami.

ZDZISŁAW BRONCEL

Odległość — mierzę miarą snów . . .

Odległość — mierzę miarą snów
I brak twój — nocy zjawą,
Gdy w sen upadam ,tak jak w rów,
Kopany pod Warszawą.

Sypie się ziemia, tonny lat,
Grzebie nas nasyp życia,
I tylko sen nam wraca świat,
Od śmierci do powicia.

Sztolnią z ciemności schodzę w głąb,
Przebijam piętra wspomnień,
W podziemiach czasu szukam rąk,
Wciąż wyciągniętych do mnie.

Rozrzucam przeszłość, wstrząsam gruz —
Nakryty nocy kaskiem,
Twych nieobecnych szukam ust,
Warg zasypanych piaskiem.

Godzina w ciszę wbija gwóźdź,
Zaciskam trumnę powiek —
Jakże mi trudno z tobą pójść,
Jakże mnie więzi: człowiek.

Gdzie jesteś? — Powiedz! — Przebij mur!
Ciemności! — Twarz swą objaw!
— Nim nas poranny wezwie kur,
Nim senny zgaśnie zodjak.

Daleko — długo — kiedyż więc?
Zbyt długo — "nigdy" znaczy...
Z nieprawdy dni uciekam wstecz,
W Warszawę — rów rozpaczy.

ALEKSANDER JANTA

Na dzień dzisiejszy

Przekwitły bzy, więdną wiśnie,
jesień jaskółki goni.
Odchodzącym nikt nie uściśnie
wyciągniętej przyjaźnią dłoni.

Niema radości w rozkwicie
idących wiosen i wieści —
zgubiło się nasze życie,
tamtą jesienią szeleści.

W ruinę sypią się cegły
przeszłości, co była butna —
nadzieje nasze poległy
na polach Kocka i Kutna.

Znów rosną i znowu giną
szyderczym wyrokiem losu:
Tobruk lub Monte Cassino,
i krew bez prawa do głosu.

Dziś Atlantycka nam Karta,
pochwał dla Polski korona —
jutro ze złudzeń odarta,
z miłości wydziedziczona.

Tyle wierności i wiary,
tyle miłości i mocy
zepchniętej na dno ofiary
w ciemność oszustwa i nocy.

A dotąd walczy przedmurzem,
w kadzidłach pustych obietnic
O! prawdo, podszyta tchórzem
O! ludzie, skąpi i niecni!

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

MONTE CASSINO

(Korespondencja własna "Tygodnika Polskiego")

I. WIDMO NAD DOLINĄ ŚMIERCI

Nie szukajcie tych nazw w słownikach geogaficznych, nie pytajcie o nie mieszkańców sąsiednich wiosek: oficjalnie one nie istnieją.

Widmo i Dolina śmierci — to przezwiska żołnierskie, nadane baniastej górze i leżącej przy niej kotlinie przez Anglików i Amerykanów, którzy długie miesiące gęsto zaściełali je trupem.

Stanowi to niewielki spłachetek ziemi — może trzy hektary wszystkiego razem — i prowadzi do podnóża Colle San Angelo, kluczowej pozycji obronnej linji Gustawa, niemieckich umocnień, broniących dostępu do Rzymu. Kto siedzi na San Angelo, ten jest panem w Monte Cassino, Monte Cassino zaś jak klin wbija się w dolinę i zamykę drogę na Rzym.



Nasi chłopcy strzelają do Niemców.

Strome, niedostępne zbocza najeżone są ostrymi głazami, zarosłe zbitym w jedną masę gąszczem krzaków. Do tego Widmo, niby prawdziwy upiór, zieje śmiertelnym ogniem ze strzelnic przemyślnie zamaskowanych bunkrów na każdego śmiałka, który do niego podejść się odważy, Dolina Śmierci zaś stała się oddawna grobem wielu dzielnych żołnierzy, którzy kładli się tu pokotem, rażeni ulewą pocisków ze stanowisk niemieckich na szczycie San Angelo.

Bo San Angelo, wbrew swej anielskiej nazwie, jest prawdziwie djabelską twierdzą, umocnioną przez Niemców nadzwyczajnie, wyposażoną we wszystko, co może współczesna technika wojenna, bronioną wściekle z rozpaczliwym uporem.

Przytem ,gdy Widmo jest silnie zakrzaczone i przez to trudno dostępne, to San Angelo u swego szczytu wznosi się niemal prostopadle jakichś dwieście metrów w górę nagą, litą skałą, na grzbiecie której znajdują się niemieckie stanowiska, obsadzane przez oddziały leżące na przeciwstoku.

Zadaniem "Kresowej" było zdobycie Colle San Angelo, a przez to ubezwładnienie Monte Cassino. Żeby zaś opanować San Angelo, trzeba tyło wpierw zająć wzgórze Widma i przejść przez Dolinę Śmierci.

Natarcie ruszyło w nocy z jedynastego na dwunasty maja. Dwa baony Wileńskie, potem jeden z baonów Lwowskich weszły na Widmo, zostały zepchnięte niemieckim przeciwnatarciem i poszły znów do przodu. Tak przechodziło to wzgórze upiorne z rąk do rąk przez całą noc, przez cały następny dzień i jeszcze jedną noc. Walka szła o paręset metrów skały, ale na każdym metrze ziały leje i wyrwy od tysięcy pocisków, leżeli zabici — nasi i Niemcy — jęczeli ranni, wsiąkała w ziemię krew.

Piekło tam było prawdziwe, kiedy szesnastego maja — w piątym dniu

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly $3.50 Yearly $7.00

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

zmagań zaciekłych, ruszył do ataku Lwowski baon majora St. Baon ten był w ogniu od pierwszego dnia natarcia, lecz dziwnie szczęśliwie oszczędzały go dotychczas pociski wroga.

Kapitan Ł. ze swoją czwartą kompanją idzie pierwszy. Przez piekielną gmatwaninę wykrotów, głazów, krzaków i zwojów kolczastego drutu, przez setki pułapek i min — przedziera się na zbocze Widma.

Ale Niemców na Widmie jest zadużo. Co najmniej w sile równej nacierającej kompanji, ukryci w schronach, niedostępni i bezpieczni, rażą morderczym ogniem, — przyduszają natarcie do ziemi...

Wiecie jak trudno poderwać się wtedy, gdy tuż nad głową leci z żałosnym poświstem fala kul, kiedy instynkt każe jak najgłębiej zaryć się w ziemię, wcisnąć się, przypłaszczyć..

Kapitan Ł. usiłuje pchnąć kompanję naprzód. Woła: — atakować! na Szwaba!

Odpowiada mu krzyk: — Chłopcy! bić tych sk... synów!

To podnosi się z ziemi podchorąży Tadeusz Gasiński.

Dziewiętnastoletni wesoły, żywy chłopak, który przed paru miesiącami zaledwie zdawał maturę w Barbarze —teraz podrywa swą drużynę do ataku. Z granatem w ręce pędzi w kierunku niemieckiego schronu — i dostaje serję w piersś.

Ostatnim odruchem nawyku żołnierskiego woła w stronę dowódcy kompanji:

— Panie kapitanie, melduję, że Gasiński nie żyje!

i pada bez życia na głazy...

Dowódca baonu rzuca na pomoc kompanję drugą pod dowództwem por. P.

Ci już na podstawie wyjściowej dziesiątkowani są straszliwym ogniem artylerji i moździerzy. Już są wśród nich ranni, już padło sześciu zabitych.

Zginął szef kompanii, sierżant Władysław Cynowski, rozdarty pociskiem na strzępy.

Rozwścieczona kompanja prze naprzód. Po polsku, po warjacku.

Wspaniałym susem — w 15 minut — są na szczycie Widm. W mig roznoszą schrony.

Uderzenie było tak żywiołowe, tak gwałtowne, że Niemcy nie mają czasu się poddawać: zanim zdążą podnieść ręce do góry już są rozniesieni na bagnetach.

Dowódca kompanji, porucznik P., dopada, siejąc serjami z Tomiganu, do schronu. Odłamek pocisku roztrzaskuje mu lewe przedramię, Tomigan wypada z bezwładnej ręki. Wtedy prawą wychwytuje pistolet i strzela w otwory bunkru. Rażony serją ze Spandau'a pada, broczące krwią. Z pod ognia wynosi go podchorąży Wal. który ze swą drużyną pędzi tuż za dowódcą.

Straty są duże ale uderzenie było skuteczne.

Kompanja czwarta już się poderwała i naciera na środek wzgórza.

Za nią goni trzecia, kapitana K.

W ten sposób wypad jednej kompanji zmienia się w natarcie całego czołowego baonu.

Kompanje wydusiły Niemców w bunkrach, skonsolidowały się, zapadły na noc na wzgórzu.

Widmo jest zajęte i opanowane już teraz ostatecznie.

Jednak Niemcy przez noc podciągnęli posiłki i o świcie uderza w baon gwałtowny kontratak. Idą na prawe skrzydło baonu, na czwartą i drugą kompanję. Dochodzą. Zwierają się pierś w pierś. Wre walka na bagnety i granaty ręczne.

Wtedy dowódca baonu decyduje się na użycie odwodu: rzuca pierwszą kompanję i drużynę kaemów.

Pędzą jak djabli, jak warjaci. Nikt nie zważa na wytyczone ścieżki, walą byle gdzie, aby prędzej dopaść Przez pola minowe przeskakują z takim impetem ,że miny rwą się już za nimi.

Ziemię zaściełają trupy niemieckie, 16 jeńców wznosi w górę drżące ręce, skomli o litość.

Przeciwnatarcie niemieckie odparte.

* * *

Ale walka trwa nadal.

Niemcy kładą silne ognie zaporowe między Widmem i San Angelo oraz na nasze tyły, żeby zatrzymać zaopatrzenie i dojście posiłków. Pomimo to koło godziny 6ej podciąga drugi baon Lwowski, dowodzony przez majora B. I ci idą nie bacząc na nic, rozwiniętą tyraljerą przez miny i pułapki.

Przechodzą przez stanowiska pierwszego baonu, przeskakują przez ogień zaporowy i walą na San Angelo.

Już uchwycili podnóże góry i zaczynają przeć na szczyt.

Niemcy ze grzbietu San Angelo biją w nich całą bronią: widać jak padają ranni i zabici.

Ginie w tem uderzeniu siedmiu oficerów baonu. Padają ranni: kpt. Kr. z rozszarpaną piersią, por. M. z urwaną grantem nogą.

Baon prze naprzód. Już dochodzą do szczytu (pamiętajcie: dwieście metrów nagiej, litej skały!), gdy z góry wali się na nich przeciwuderzenie. Pękają granaty, plują ogniem Schmeisery i Spandau.

Pod piekielnym gradem pocisków baon drgnął i poczyna spływać na dół. W połowie góry zapada w teren. Są to już krzaki: przynajmniej jakaś osłona.

Na pomoc podskakuje kompanja Comandosów i szturmowców poznańskich ułanów. Wszystko to odbywa się w straszliwym ogniu artylerji i Moździerzy. Prawdziwe piekło.

Równocześnie wychodzi niemieckie przeciwnatarcie z prawego skrzydła na pierwszy baon, na Widmo. Niemcy rozpaczliwie chcą wyprzeć go ze wzgórza.

— Utrzymać Widmo, które kosztowało tyle krwi i życia, za wszelką cenę! Gdybyśmy się cofnęli, Niemcy okrążą naszych na San Angelo!

Baon na Widmie bije wściekle, zawzięcie. Niemcy powoli odchodzą.

Wtem do dowódcy baonu podbiega oficer ze San Angelo:

— brak amunicji!.. rany boskie!.. pomożcie.. dawajcie amunicję!

Bowiem na San Angelo stała się rzecz najgorsza jaka może spotkać żołnierza: zabrakło amunicji. Chociaż każdy wziął jej ze sobą tyle ile zdołał udźwignąć, jednak w tym ogniu straszliwym wyczerpało się wszystko.

Jakże walczyć bez amunicji? Na szczęście wnet ją dostają.

Dowodzący całością natarcia pułkownik R., przywidując taką sytuację, wysyła dwa czołgi na Widmo, które ciągną za sobą przyczepki pełne skrzynek z nabojami. Jeden z nich zostaje trafiony pociskiem niemieckim, lecz drugi dochodzi. Ponadto, przez cały czas akcji donosi amunicję oddział pepanc. pierwszego baonu. Z rozkazu mjr. St. ppor. M., góral z Zaolzia, twardy chłop jak oni tam wszyscy, obraca ze swymi pepencami w górę i w dół, dźwigając skrzynki. Gdy który z żołnierzy osłabnie, sam chwyta jego ładunek i pędzi pod górę. Ach, zresztą któż tu nie pracuje z największą ofiarnością, kto nie daje najwyższego wysiłku ze siebie.

Oto plutonowy J., łącznościowiec, ranny w nogę idzie naprawiać uszkodzenie na linji. Podczas pracy dostaje jeszcze jeden postrzał w plecy. Pomimo to roboty nie przerywa, odnajduje miejsce przerwane, nakłada złącze, wraca do kompanji. Tu oczekują go już z niecierpliwością: łączność z dowództwem baonu zerwana.

— Wal, bracie, zobacz gdzie tam znów takie syny rąbnęły!...

Plutonowy J. nic nie mówi o swoich ranach. Chwiejąc się na poranionych nogach idzie na linje. Z tej wyprawy już nie wraca: zemdlonego znajdują go nad ranem niedaleko dowództwa baonu. Ale uszkodzenie na linji znalazł i naprawił.

Porucznik G., lekarz bataljonowy, posuwa się z punktem opatrunkowym tuż za nacierającemi kompanjami. Któż zliczy ilu ludzi zawdzięcza życie jego natychmiastowej pomocy! Oto dwaj przyjaciele zsuwają się na plecach kamienną rynną znoszą ze szczytu ciężko rannego ppor. Gr. Krew tryska strugami z poszarpanych tętnic. Tylko natychmiastowa transfuzja krwi może uratować rannego. I doktor dokonuje zabiega tu, na miejscu, w krzakach, pod gradem pocisków, w nocy bez światła — boć przecież zaświecenie latarki ściągnie odrazu ogień Niemców!

Na stokach wzgórza to tu, to tam, ukazuje się postać kapelana baonu, ks. Sł. Widać go wśród walczących, pochyla się nad rannymi. W życiu garnizonowym — w Egipcie i Palestynie — nie jednemu wyczytał ostre Pater Noster o sumiennym wykonywaniu obowiązków. Teraz sam daje przykład wzorowej obowiązkowości. W kieszeni na piersi munduru nosi największy skarb swój dzisiejszy notatnik, w którym ma zapisane nazwiska tych, co przed bojem przyszli do niego po rozgrzeszenie i prosili, aby w razie ich śmierci zawiadomił rodziny, że polegli pojednani z Bogiem.

A nad polem walki góruje dowódca baonu, major St. On, który na ćwiczeniach tak zawsze przestrzegał, aby żołnierze zachowywali się bojowo, teraz w warunkach prawdziwego boju sam całkowicie lekceważy swoje przestrogi.

Bez hełmu ,z laską w ręku, chodzi wyprostowany między tyraljerami.— Nasz stary ma szczęście — mówią patrząc na niego żołnierze — kule go się nie imają...

Pułkownik chodzi po placu boju i czuwa nad wszystkim co się dzieje.

Gdy widzi, że przeciwuderzenie na Widmo odparte, gdy podrzucił amunicję na San Angelo — decyduje teraz wesprzeć wciąż jeszcze haratający się z Niemcami drugi baon Lwowiaków.

Dzięki dobrej pracy swoich kaemów, które przygłuszają niemiecką broń maszynową, baon prawie bez strat wchodzi na San Angelo. Za nim idą resztki dwóch baonów Wileńskich i trzeciego Lwowskiego.

Niemcy ostatecznie są ze wzgórza wyparci. Zmordowane śmiertelnie baony zapadają na noc na stoku San Angelo.

Czarne zwały chmur przysłaniają gwiazdy. Płyną nisko, tuż nad szczytami, wlokąc długie kudły mgieł po stokach. Wilgotny ziąb wstrząsa dreszczem ciała umęczonych żołnierzy. Leżą oni na zboczu San Angelo w pół jawie i w pół śnie trawieni jeszcze bitewną gorączką. Wyczerpani nerwowó i fizycznie do ostatnich granic ciężką pracą wojenną, nadmiernym trudem żołnierskim, pragną w tej chwili jednego: wypoczynku.

Narazie mają spokój. Tylko jeszcze Comandosi likwidują schrony na stokach.

Z rana 18-go maja przychodzi rozkaz wycofujący baon do odwodu.

I kiedy żołnierze schodzą powoli ze stoków San Angelo nad klasztorem na Monte Cassino wznosi się do góry biało-czerwony sztandar.

Drugi Korpus Polski spełnił zadanie: otworzył drogę na Rzym.

....

Dziś, kiedy piszę te słowa na wzgórzu zwanym Widmo i w Dolinie Śmierci panuje spokój. Zrzadka tylko zaleci tu jakiś niemiecki pocisk, ludzi nie widać wcale. Może tylko jeszcze leje i wyrwy, może mnóstwo odłamków leżących wszędzie, może strzaskane hełmy i rozrzucona amunicja przypominają o tym piekle jakie tu było przed paru dniami. Może tylko nieznośny odor zgnilizny parujący z ziemi nasiąkłej krwią i z krzaków, w których leżą jeszcze szczątki rozszarpanych pociskami ciał, przywodzą na pamięć złowrogie nazwy tych miejsc.

Ale przeminą dni, tygodnie, miesiące i Widmo nad Doliną Śmierci znów stanie się tym, czym było poprzednio — niewielkim spłachetkiem ziemi, trzema hektarami skały zarosłej gąszczem krzaków.

I tylko w Polsce dalekiej, po chatach nad Wisłą, Odrą, Wilją i Dniestrem długo jeszcze będzie żyć we wspomnieniach świetne zwycięstwo pod Cassino i krwawy znój tych co polegli i tych co przeszli przez Widmo i przez Dolinę Śmierci.

II. DLA CIEBIE, POLSKO

Kiedy samochód skręca za ostatni pagórek i wjeżdża w dolinę rzeki, dziwny i nieoczekiwany widok uderza oczy: na tyle potężnego masywu Monte Cairo widać w jasnych promieniach południowego słońca jak na dłoni klasztor Monte Cassino.

Przez tyle dni przyzwyczailiśmy się widzieć w tamtej stronie smugi dymów, wiszące grubymi warstwami nad horyzontem, że teraz, kiedy tak nagle wyrastają przed oczami wyraźne szczerbate mury, człowiek mimowoli się wzdraga: no, zaraz zaczną grzać po nas.

Ale mury milczą...

Wtedy się rodzi ździwienie: dlaczego nie zadymiają. Co się stało. Czyżby już...

Jedziemy pustą zupełnie drogą. Cisza nadzwyczajna. Gdzieś tylko z lewa bije kilka naszych baterji i na północnych grzbietach słychać kanonadę moździerzy. Ale Cassino wciąż milczy...

Szofer dodaje gazu. Wyraźnie ta cisza go denerwuje. Pędzimy tak między rozsrosłymi krzakami, mijając winnice i pola porosłe czerwonymi makami.

Nareszcie — sztab regulacji ruchu.

Pierwsze pytanie — czy nie wiecie, dlaczego nie zadymiają Cassina.

— Bo o dziesiątej piętnaście Cassino zostało zajęte przez nas.

A więc tak. Stało się...

Na ruinach klasztoru Monte Cassino powiewa biało-czerwony sztandar.

Ale zanim to mogło nastąpić, trzeba było złamać opór niemiecki, zgnieść Dywizję Spadochroniarzy — najlepsze wojsko Hitlera, rzucone tu w ostatniej chwili dla zatrzymania naszego natarcia. Trzeba było przez sześć dni, przez sześć nocy nacierać i odbijać wściekłe przeciw uderzenia, trzeba było piąć się po karkołomnych głazach, djabelskich schodach kamiennych, trzeba było przedzierać się przez zbity gąszcz krzaków, splątanych zwojami kolczastego drutu, zaminowanych tysiącami min i pułapek. Trzeba było iść naprzód, trzeba była cofać się do tyłu, trzeba było walczyć, walczyć i walczyć pod lawiną pocisków huraganowego ognia artylerji i moździerzy, w ulewie kul broni maszynowej wroga.

Zanim ręka polskiego żołnierza zatknęła biało-czerwony sztandar na ruinach klasztoru Monte Cassino wielu, wielu jego kolegów napoiło krwią swą serdeczną zieloną murawę hal apenińskich, wielu padło śmiertelnym ciosem rażonych na szare głazy włoskich gór.

Zginął dowódca Brygady Wileńskiej pułk. Wincenty Kurek.

Padł, serją ze Spandau przez serce nieulękłe przeszyty, ppułk. Władysław Kamiński, dowódca Baonu 'Rysiów".

Zmarł od ran jego zastępca mjr. Jan Zychoń.

Legł trzykrotną salwą rażony plut. Gorgolewski. Skonał z okrzykiem: "Niech żye Polska" na ustach.

Poległ śmiercią walecznych jeden, drugi, dziesiąty, setny...

Lecz Ci, którzy zostali, szli naprzód — i doszli.

Teraz leżą, nad pojęcie ludzkie znużeni, na zdobytych wzgórzach: na Widmie — 569 — 475 — 706 — na San Angelo, na Mass Albanet, — na Monte Cassino.

....

Idę wąską szczeliną między wysokimi kamiennymi ścianami, pnę się stromo w górę — dwieście, trzysta, czterysta metrów. Nad głową zwisają gałęzie i korzenie krzaków, nogi potykają się i ślizgają po skalnych głazach. Wszędzie po drodze w załomach, w norach wyrytych w skale — śpią i leżą żołnierze "Kresowej". Kompanje Lwowiaków pomieszane z kompanja-



Operacja w szpitalu w czasie trwania bitwy.

mi Wileńskiemi. To — odwody. Reszta jeszcze w pracy, jeszcze oczyszcza teren, ściga i wyłapuje niedobitków 5-ej Górskiej Dywizji i słynnej 1ej Dywizji Spadochronowej.

Pnę się ostrożnie między leżącymi (kamienie co chwila odrywają mi się z pod nóg i z łoskotem toczą się w dół), szukam kogoś z Baonu "Rysiów". Chcę się dowiedzieć szczegółów śmierci pułkownika Kamińskiego. Aż wreszcie na szczycie wzgórza pokazują mi: — o ten — starszy strzelec Adam H., — on był z pułkownikiem.

Siadamy w cieniu drzewa, obok nosz, na których leży zawinięty w koc trup żołnierza z Baonu "Rysiów". Ścieżką w dół sanitarjusze znoszą rannych. Spoglądają ku nam błyszczące gorączkowo oczy, wargi wykrzywiają się w bolesnym uśmiechu. Gdzieś obok pośpiesznie bije moździerz.

Adam H. chłop z pod Augustowa, "zakluczonyj" na 5 lat za ukrywanie rannego przyjaciela — poszukiwanego przez N.K.W.D. kaprala W. P. — opowiada:

"Byłem w poczcie dowódcy Baonu, kiedy doszliśmy na Widmo.

Pan pułkownik chciał pójść dalej sam, ale pan porucznik nastał, żebym i ja poszedł jako ochrona. Zeszliśmy w dolinkę, znaleźli niemieckie maszynki, teczkę z papierami, pooglądali bunkry... Pan pułkownik dal mi kartkę do pana majora Zychonia, żeby prowadził Baon. Skoczyłem na Widmo — wróciłem z Baonem. Pan pułkownik położył Baon w krzakach, a sam ze mną poszedł na San Angelo.

Wyszliśmy w dolinkę, — słyszę: "szpandały" grają jak cholera. A pan pułkownik nic — śmieje się: nie bój się, bracie, dojdziemy.

Przeszliśmy jedną górkę, podchodzimy na drugą — Niemiec bije wprost po nas. Schowałem się za kamień i krzyczę: panie pułkowniku. Chować się.

Ale pan pułkownik nie był skory do padania. Akuratnie maszeruje dalej. Aż nagle słyszę krzyk: Adam.

Skoczył ja do pułkownika — widzę: leży twarzą do nieba, mundur na piersi od krwi czerwony... Wziął ja go pod plecy, podciągnął za skałę, kamień pod głowę podłożył...

Pan pułkownik otworzył oczy popatrzył na mnie i mówi cichym głosem: pamiętaj Adam... to za Polskę... i skonał."

Władysław Kamiński, podpułkownik Wojsk Polkich, senator Rzeczpospolitej.

Poznałem go — wiele lat temu — młodego kapitana Legjonów: w bagnach poleskich roznosił na bagnetach bolszewickie sotnie.

Potem spotykałem się z nim — posłem na Sejm i senatorem — przez wiele lat w różnych sytuacjach. Nie zawsze godziliśmy się w poglądach,— zawsze budziły szacunek jego charakter, prawość, szlachetność i dzielność.

A później — później pokochałem Go jak brata w niskich, ciemnych pokoikach Wilna — raz na Antokolu— raz na Zwierzyńcu — to znów gdzieś na Wilczej Łapie — kiedy ze zdumiewającym spokojem i zimną odwagą wymykał się sieciom łapanek w robocie Polski Podziemnej.

Niestety, nie wymknął się... Aresztowany na początku 1941 roku, bity straszliwie i torturowany, oczekuje wyroku śmierci w podziemiach Łubianki.

O tych swoich przejściach więziennych opowiadał mi z młodzieńczym uśmiechem na twarzy, pełen zapału i energji, szczęśliwy bezgranicznie że jest w wojsku, że dowodzi Baonem, — kiedyśmy się po ostatnim widzeniu w Wilnie spotkali znów pod płachtą namiotu, targaną gorącym hamsinem na piaszczystych pagórkach Iraku...

Potem znów... eh, książkę trzebaby było napisać o życiu tego człowieka, o pełnym trudu i pracy bez wytchnienia życiu, którego sens właściwy on sam najlepiej oddał w westchnieniu przedśmiertnym — za Polskę...

Z sercem żalem ściśniętym siedzę obok zamilkłego Adama i myślę o pułkowniku Kamińskim, o plutonowym Gogolewskim, który z okrzykiem: — niech żyje Polska, ducha oddał, o Michale Pańkowcu, o tych, których znałem i o setkach tych mi nie znanych, co krwią swą obficie te włoskie góry napoili, ostatnim zrywem zamierającej myśli goniąc do polskiej ziemi dalekiej...

....

Moździerze grzmią coraz silniej. Gdzieś z prawa słychać zachłystujący się terkot kaemów. Przedemną w dole nad szeroką doliną kołyszą się smugi białych gęstych dymów, z których raz poraz wybuchają salwy naszych baterji.

U podnóża i na stokach góry łany czerwonych maków błyszczą w słońcu jak kałuże świeżej lśniącej krwi...

Na tle potężnego masywu Monte Cairo widać jak na dłoni w jasnych promieniach słońca klasztor Monte Cassino.

Dziś o dziesiątej piętnaście ręka polskiego żołnierza zatknęła na nim biało-czerwony sztandar...



Tu leżą ci, co zginęli pod Cassino.

W POPRZEDNIM 25 (77) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Jarosław Żaba: Lwowski Bataljon na "Widmie"; Tadeusz Sowicki: Italia Madre; Aleksander Janta: Niebo pełne jest nocy; Widzenie wiary; Wiktorja Janda: Czemu ty mi się zawsze śnisz. Władysław Gieysztor: Gdzie będą Sowiety po wojnie?; Roman Fajans: "Polish Parade"; M. Niedzwiecki: W rozbrzaskach świtów i ciszy; The voice of America; Opinje i zdarzenia.

ZYGMUNT ST. KLINGSLAND

Zagadnienie tematu w sztuce plastycznej

Temat, jako pierwiastek składowy dzieła sztuki, ściślej zaś mówiąc, jego rola w twórczości plastycznej, stanowi jedno z najczęściej poruszanych i najnamiętniej dyskutowanych zagadnień estetyki na przestrzeni stuleci. Najmożniejsi niegdyś protektorzy sztuki — Kościół, dwór i cechy — przypisują mu tak doniosłe znaczenie, że zastrzegają sobie wobec artystów prawo wyłącznego stanowienia już nietylko o samym wyborze tematu ale, w bardzo wielu wypadkach, nawet o wszelkich szczegółach jego traktowania.

Średniowieczne Sobory Kościelne orzekają więc, że artysta, który ma sobie zlecone wykonanie jakiegoś dzieła sztuki religijnej, obowiązany jest pracować ściśle według wskazań uczonego teologa — zazwyczaj, świątego zakonnika, nieraz już wymienionego w umowie. Ruch postaci, wyraz twarzy, układ rąk aż do koloru szat włącznie — na wszystko istnieją przepisy ikonograficzne, które taki zakonnik-erudyta powinien dokładnie znać, i od których artyście nie wolno czynić żadnych odstępstw.



Marceli Baciarelli — Portret

Dwór — uważający, że głównym zadaniem zatrudnianych przez niego artystów jest gloryfikowanie majestatu cesarskiego, królewskiego czy książęcego — również pragnie zachować dla siebie prawo decydowania o wyborze tematu. Artysta zmuszony jest uwzględniać, prócz każdorazowych upodobań samego władcy, wskazówki jego zaufanych a często i chwilowych faworytek. Takim warunkom pracy podporządkowana jest nawet sztuka dworska starożytnego Egiptu, Persji, Chin, Japonji, euroazjatyckiego Bizancjum. Renesans włoski nie pomniejsza wprawdzie znaczenia tematu, ale rozluźnia dyscyplinę ikonograficzną zarówno kościelnej jak i dworskiej sztuki, w ogóle bowiem ułatwia rozwój samoistnej inicjatywy twórczej. Jednocześnie Renesans włoski wzbogaca pierwiastek tematu, wprowadzając do treści jego i formy symbolistykę plastyczną, zaczerpniętą z mitologji grecko-rzymskiej.

Przyswaja sobie później takie neoklasyczne traktowanie tematu również i francuska sztuka dworska, na której długo wzorować się będą artyści niemal wszystkich innych krajów. Zasięg tych wpływów, które trwają od Baroku aż do Empire'u, jest tak wielki, że liczne ich ślady spotyka się wszędzie i na każdym kroku. Jako typowy przykład wymienić można ścienne malowidła i ogrodowe rzeźby, zdobiące Łazienki Królewskie i rozmaite zamki czy pałace magnatów polskich. Nie ulega wątpliwości, że Bacciarelli, gloryfikując panowanie Stanisława Augusta Poniatowskiego, kierował się w swoim wyborze tematów i nawet ich ujęciu temi samemi założeniami estetycznemi, które uznawał za nieomylne Charles Lebrun, oficjalny malarz nadworny Ludwika XIV-ego. Zachowały się zresztą sprawozdania z posiedzeń Francuskiej Akademji Sztuk Pięknych, rzucające bardzo charakterystyczne światło na stosunek artystów do zagadnienia tematu w twórczości plastycznej. Najwybitniejsi akademicy wygłaszali podczas takich posiedzeń formalne prelekcje dyskusyjne, najczęściej poświęcone teoretycznym rozważaniom nad znaczeniem tematu w dziełach sztuki: o kwestjonowaniu jego pierwszoplanowej roli mowy być nie mogło — różnice poglądów wynikały jedynie przy ustanawianiu hierarchji tematów, klasyfikowanych według wzniosłości myśli czy uczuć, które w nich były zawarte. Wysoce znamiennym jest fakt, że Diderot, pisząc sprawozdania z dorocznych Salonów Paryskich, kładzie główny nacisk na drobiazgową analizę każdego poszczególnie tematu, jako na czynnik decydujący o wartości artystycznej wystawianych dzieł.

Cechy nie posiadały wprawdzie majestatu ani autorytetu Kościoła czy dworu, ale były już w epoce Średniowiecza dostatecznie świadome potęgi swojej i zasobności, by chcieć, a w pewnych okolicznościach, nawet móc rywalizować z rodową arystokracją. Przecież najwyższe dostojeństwa i urzędy miejskiej władzy piastowane były przez majstrów cechowych, do których należeli nietylko rzemieślnicy czy artyści ale i ludzie, objęci dziś zbiorową nazwą "inteligencji zawodowej" o wykształceniu uniwersyteckim. Mieli oni silnie rozwinięte poczucie swojej godności patrycjuszowskiej, będące źródłem wielostronnych ich ambicji, wśród których niepoślednie miejsce zajmuje rola protektorów sztuki.



Józef Chełmoński — Gospodarstwo

Najczęściej zamawiały cechy dzieła treści religijnej — obrazy, posągi, witraże wotywne — o ściśle określonych przez nie wtedy tematach. Składały się na to rozmaite okoliczności: patronowali cechom, odznaczającym się pobożnością, święci lub święte wszelkiego rodzaju, wizerunki więc ich zdobiły mury, nisze i okna kościoła, w którym dany cech zwykł był modlić się i zamawiać msze w dniu swojego patrona czy patronki; honoratiores cechowi nosili podczas częstych wtedy procesji religijnych bądź malowane chorągwie, bądź drewniane rzeźby, wyobrażające ich patronów; skutecznie chroniły od klęsk żywiołowych — wojny, ognia, moru — wciąż nawiedzających ludzkość, wotywne dzieła sztuki, które swoim kościołom zazwyczaj również fundowały poszczególne cechy, względnie ich notable. Pochodzenie takich dzieł cechowej sztuki religijnej ustalić można przeważnie bez trudu, znajdują się bowiem na nich albo portrety ofiarodawców, albo odpowiednie napisy. Tak więc np. Św. Sebastjan jest nietylko patronem łuczników ale i obrońcą przed pomorem; cechy malarzy organizują się wszędzie pod wezwaniem św. Łukasza; muzy-



Jan Matejko — Batory

kantom patronuje św. Cecylja, garbarzom — św. Bartłomiej, cieślom — św. Józef, perfumiarzom — św. Magdalena;; św. Florjan i św. Barbara chronili od pożaru i piorunu, św. Krzysztof opiekował się podróżnikami, etc....

O tem, jak wielką jest rola, odegrana przez cechy w dorobku sztuki religijnej, zwłaszcza Średniowiecza i Renesansu, świadczy ilość malowideł, rzeźb, witraży, kaplic, kościołów, przez nie ufundowanych. Zagadnienie tematu rozstrzyga też przy udzielaniu zamówień na dzieła sztuki świeckiej — ambitne cechy pragną uwiecznić pamięć o sobie w najokazalszej postaci. Wystarczy przypomnić zbiorowe portrety starszyzny cechowej, malowane przez artystów miary Halsa czy Rembrandta, którzy nawet w szczegółach kompozycyjnych tematu często musieli kierować się żądaniami swych protektorów, jeżeli chcieli uniknąć przykrości, procesów i materjalnych strat.

Nie ulega wątpliwości, że przypisywanie tak wielkiego znaczenia pierwiastkowi tematu przez Kościół, dwór i cechy było, na przestrzeni całych stuleci, jednym z najsilniejszych czynników rozwojowych w dziejach sztuki zarówno religijnej jak i świeckiej. Ta konieczność powodowania się przy wyborze tematu cudzą wolą czy kaprysem, często nic wspólnego ze sztuką nie mającymi, co zaś jeszcze bardziej musiało wydawać się niesłusznym — to kwalifikowanie wysiłku twórczego według wzniosłości tematu, trwało wprawdzie niesłychanie długo, z małymi bowiem wyjątkami aż do połowy XIX wieku, ale doprowadziło do powszechnego buntu artystów. Najtrafniejszych argumentów dostarczyła im przeszłość w postaci t. zw. "martwych natur", krajobrazów, "scen rodzajowych", malowanych przez artystów, z których wielu, może właśnie dlatego nigdy nie dostąpiło żadnych zaszczytów dworskich, zdobyło sobie natomiast nieśmiertelną sławę. Konsekwencją buntu było pozbawienie tematu jego uprzywilejowanej roli dotychczasowej — pozostał on ważnym pierwiastkiem składowym sztuki, ale nie decydującym o jego wartości artystycznej. Konsekwencją buntu było zepchnięcie na odległy plan kwestji: Co przedstawia dany obraz?, najistotniejszym bowiem stało się zagadnienie: Czy i w jakiej mierze zewnętrzna jego forma odpowiada wewnętrznej treści?

W Polsce również doszło do buntu. Krucjatę przeciwko despotycznej hegemonji tematu poprowadził już w końcu ubiegłego stulecia Stanisław Witkiewicz, poświęcając temu zagadnieniu szereg artykułów, zebranych później w książce: "Sztuka i krytyka



Andrzej Pronaszko — Muzykanci

u nas". Witkiewicz, jeden z najbardziej zasłużonych dla naszej plastyki pisarzy, wystąpił do walki zarówno przeciwko Krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych, jak i przeciwko Warszawskiemu Towarzystwu Zachęty Sztuk Pięknych. Obie te instytucje wychodziły z założenia, że prymat tematu w malarstwie jet dogmatem estetycznym, który nie może wcale podlegać dyskusji. Matejko, jako wyrocznia Krakowskiej Akademji, a baron Lesser, jako autokratyczny prezes Warszawskiej Zachęty twierdzili, że jedynymi dziełami, godnymi polskiego malarstwa, są obrazy treści religijnej lub historycznej. Oczywiście, pobudki, które nimi kierowały, były jaknajszlachetniejsze, gdyż wysoce patrjotyczne. Zresztą, przecież na twórczości artystów Średniowiecza ciążyła jeszcze ostrzejsza dyscyplina, która nie przeszkodziła im dać światu arcydzieła.

Impuls do rozpoczęcia polemiki dała Witkiewiczowi decyzja Warszawskiej Zachęty, odrzucająca obraz Chełmońskiego, jako rażący trywjalnością tematu — konie i psy w polu. Witkiewicz zareagował na tę niesprawiedliwość aforyzmem, lapidarnie streszczającym jego poglądy estetyczne: Kaśka w rzepie warta "Jana Zamoyskiego pod Byczyną" (tytuł historycznego obrazu Matejki). Witkiewicz dlatego zasłużył się plastyce polskiej, że, występując tak ostro i skutecznie przeciwko hierar-

chji tematów, wywalczył prawo artystycznego bytu "śniegom" Fałata, "bociom" Chełmońskiego, "malwom" Wyczółkowskiego, "oberkom" Axentowicza, "góralom" Skoczylasa. Polemiczna kampanja Witkiewicza przyczyniła się do tego, że artyści — którzy odkryli swoiste piękno malarskie krajobrazu polskiego, wsi polskiej, obrządków polskich — łatwiej mogli wpajać swoje zamiłowanie do takich tematów publiczności polskiej. Okazało się też wtedy, że nietylko dzieła wzniosłej treści religijnej czy historycznej mają własność "krzepienia serc" polskich....

Sporu jednak nie wyczerpało to zwycięstwo, ani w Polsce ani gdzieś indziej, pewien bowiem odłam estetyków i artystów uznał za wskazane wyciągnąć stąd jeszcze dalej idące konsekwencje teoretyczne i praktyczne. W tym nowym ujęciu zagadnienia okazało się, że nietylko jakościowa klasyfikacja dzieł sztuki według ich treści, ale nawet i traktowanie samego tematu jako niezbędnego składnika obrazu należy zaliczyć pomiędzy teorje błędne, jeżeli nie wręcz szkodliwe. Skrajnym przejawem tej doktryny, a raczej tego doktrynerstwa, był "formizm", głoszący zasadę, że artysta powinien, w swoim wysiłku twórczym, dbać wyłącznie o jaknajdoskonalszą formę plastyczną swo jego dzieła, która wcale nie musi być wyrazem jakiejś wewnętrznej treści, ani nawet odpowiadać naturalistycznej rzeczywistości. Słowem, zniesiona została różnica, istniejąca pomiędzy abstrakcyjną sztuką dekoracyjną — ściślej mówiąc, ornamentacyjną — a, po prostu, sztuką, której wartość emocjonalna polega właśnie na jej związku z najpiękniejszymi przejawami zewnętrznego i wewnętrznego życia ludzkiego.

Dlatego więc supremacja formy nie mogła być długotrwała — czyż faktycznym celem wysiłku twórczego każdego artysty nie jest wywoływanie przeżyć uczuciowych za pomocą wrażeń wzrokowych? Według określenia Bacon'a, dzieło sztuki jest to piękno Natury, do którego dodane jest piękno duszy artysty. Czyż nie słuszniejsze będzie wszakże powiedzenie, że dzieło sztuki jest piękno duszy artysty, pokazane poprzez piękno Natury? Oczywiście, wzruszać nas mogą nietylko "Reytan" Matejki czy "Branka" Grottgera, ale i "Kuropatwy" Chełmońskiego czy portrety Boznańskiej. Niemniej oczywistą jednak prawdą jest, że "Ukrzyżowanie" Gruenewalda czy "Okropności wojny" Goyji są źródłem głębszych i piękniejszych wzruszeń, aniżeli "Kiermasz" Rubensa czy "Brzoskwinie" Cezanne'a. Wszystkie obrazy te są, niewątpliwie, dziełami sztuki, ale czyż miernikiem estetycznej wartości ich piękna nie jest jakościowy charakter wywołanych nimi przeżyć uczuciowych? Tych samych przeżyć, które są istotnym źródłem twórczego wysiłku artysty, i którymi on chce naszą duszę wzruszyć. A to przecież jest decydującym przy wszelkich rozważaniach o znaczeniu tematu, jako niezbędnego składnika dzieła sztuki.

JÓZEF WITTLIN

Byłem tam, gdzie się zaczęła inwazja

I.

Miesiące letnie r. 1929 i r. 1930 spędziłem błogo tam, gdzie przed paru dniami zbrojnie wylądowała nadzieja uciemiężonych ludów Europy. Zaciszne te niegdyś ustronia, wskrzesił w mej pamięci jaskrawy kontrast między tem, co teraz tam się dzieje a tem, co w nich się działo przed laty piętnastu. Ciszę normandzkich wiosek napełnił huk bomb i wystrzałów, roje uzbrojonych mścicieli właśnie tamtędy wtargnęły ze swemi machinami — do fortecy Djabła. Myślę, że warto dzisiaj odświeżyć wspomnienia z tamtych czasów, warto przypomnieć stare, gotyckie miasteczko Bayeux, pierwsze francuskie miasto, zdobyte przez aljantów. Wątpię, czy aljanccy żołnierze zastali tam jeszcze słynne obicia ścienne, znane jako "tapisserie de Bayeux", przedstawiające czyny i wyprawy Wilhelma Zdobywcy, bitwę pod Hastings, króla Harolda. Jedyne to w świecie, arcydzieło średniowiecznej sztuki hafciarskiej, wykonała jakoby własnemi rękami żona Wilhelma Zdobywcy, królowa Matylda. Niedawno pisma nowojorskie doniosły, że "tapisserie de Bayeux" wywieźli Niemcy do Rzeszy. Zapewno powiększyła ona i tak już liczne zbiory słynnego kolekcjanera cudzego mienia, który ponadto kolekcjonuje na własnej, przeobfitej piersi—ordery. Ale mamy nadzieję, że katedra w Bayeux, jeden z najwdzięczniejszych okazów romańsko-gotyckiej architektury XII i XIII wieku — nie ucierpiała zbytnio od bombardowania i, że kiedyś oczy nasze jeszcze ją ujrzą.

Przepisuję tu opowiadanie z r. 1930, ogłoszone najpierw w warszawskim "Tygodniku Illustrowanym" a włączone następnie do książki p. t. "Etapy", wydanej w r. 1932 nakładem wydawnictwa "Rój":

II.

SZKIC Z NORMANDJI

Nie umiałbym odpowiedzieć na pytanie, co mnie już drugi rok z rzędu pędzi latem do małej wioski Sainte Honorine des Pertes ,położonej nad Kanałem La Manche. Czy cisza mnie tu ciągnie i wielkie złudzenie wolności, czy ostry, a jednak wyjątkowo łagodny klimat, czy też utajona świadomość, że ziemia ta wydała Flauberta i Maupassant'a, i na każdym kroku można tu sobie odtworzyć pejzaże i sytuacje z ich dzieł, czy też wreszcie samo morze wzywa mnie na swój dziwnie sielski brzeg? Doprawdy — nie wiem. Wiem tylko tyle, że przywiązałem się do tego, mało przez turystów uczęszczanego kawałka zielonej ziemi, do tych sadów pełnych jabłoni i do tej surowej powagi, którą tchnie cała normandzka atmosfera.

Ostatnią stacją kolejową w drodze do nadbrzeżnych osad, rozsianych między Cherbourgiem a Arromanche, jest Bayeux. Miasteczko to ma bardzo dawną tradycję. Niegdyś była tu stolica Wilhelma Zdobywcy, który urodził się nieco dalej na wschód, w Falaise. Kolorową legendę Wilhelma wyhaftowała podobno własnoręcznie jego żona Matylda. Można ją oglądać na ścianach muzeum municypalnego w Bayeux. Wspaniała katedra gotycka, jakkolwiek skromniejsza od katedr w Chartres i Rouen, dominuje swemi wieżami nad miastem i nad całą zieloną równiną. Trudno określić, na czem polega piękno tej zieleni. Zieleń to dziwnie intenzywna, nasycona, niekiedy nawet ponura. Owszem. na pozór cały ten pejzaż, zwłaszcza przy chmurnem niebie, wszystkie te szare domki, kościółki i zamki — czynią ponure wrażenie.

Nic niema tu ze słodyczy i miękkiej melodji południowo-francuskich krajobrazów, nawet w słonecznem powietrzu wisi coś groźnego, niemal tragicznego. Tragiczny spokój — oto najtrafniejsze określenie zespołu wrażeń, które nam daje normandzka przyroda. Morze jest tu naogół spokojne, monotonne, i letnią porą wcale nie skłonne do owych romantycznych ekscesów, które budzą podziw turystów nad Oceanem w Bretanji. Jest to morze pełne umiaru, powagi i godności, a na jego powierzchni, której kolor — jak wszędzie — zależny jest od kolorów nieba, nie wi-

dać wielkich parowców ani wytwornych jachtów. Nerwowe błyski latarni morskiej w Cherbourgu i w Hawrze wskazują w ciemne noce drogę skromnym żaglowcom rybackim, wracającym z połowu do Port-en-Bessin. Ta cicha i niewielka przystań ma również swą tradycję w literaturze i w historji. Kilkakrotnie wspomina ją Flaubert w niedokończonej powieści "Bouvard et Pecuchet". Nad portem, na "falezie", dumnie sterczy kamienna baszta, którą budował jeszcze marszałek Vauban. Dziś w jej szczelinach kwaterują krzykliwe mewy.

Niezmiernie piękne, stare, kamienne molo, gdzie w słoneczne dnie suszą się przepojone tłuszczem sieci, wrzyna się głęboko w morze. Bardzo malowniczo wygląda na tle jasnego nieba las masztów, kołyszących się w basenie. Kolorowe głowy tych masztów z krzyżami na szczycie kiwają się uroczyście wraz z latarniami, umieszczonemi nieco wyżej. W czasie odpływu, gdy basen portowy jest zupełnie wyschnięty, łodzie pochylają swe kadłuby bezsilnie, biernie, jak zwłoki ze smutnie zwieszonemi głowami, i pokornie czekają aż je w godzinie przypływu wskrzesi woda. Ale na pełnem morzu, w najbardziej burzliwe noce, potrafią one dzielnie walczyć z żywiołem i prężyć jak tarcze swe brunatne żagle. W takie noce widać z brzegu ich rozpaczliwe zmagania, widać jak maszty kładą się poziomo na wodę wraz z płonącemi latarniami. W takie noce przydać się może błogosławieństwo biskupa z Bayeux i Lisieux, który regularnie co trzy lata przybywa tutaj z orszakiem duchowieństwa i wypływa na pełne morze ze święconą wodą.

W spokojne wieczory, zanim słońce zajdzie kiedy szmaragdową taflą wód łączy się z szmaragdowem niebem w jedną nieskończoność tak, iż zacierają si granice obu tych żywiołów, na krańcach widnokręgu rysują się nieruchome, samotne żaglowce z rozpiętymi żaglami, jak fantastyczne, olbrzymie motyle. Stoją tak godzinami w wielkiej ciszy i nie drgną. W tem zaczarowanem znieruchomieniu nieba, morza i statków jest coś tak tragicznego, iż czujemy jak serce nam bić przestaje. Przez moment czujemy wieczność.

Docześni mieszkańcy tych wyżyn nadmorskich nie mają w sobie nic malowniczego. Ani w stroju, ani w obyczaju, ani w temperamencie. To bardzo twarda i nieużyta rasa Gallów i Normannów, zimna, skupiona i wyrachowana. Nigdy pieśń nie zabrzmi na tych zielonych łąkach, gdzie dniem i nocą pasą się duże krowy, z których pochodzą: słynne masło, słynne sery i najlepsza chyba w świecie — śmietana. Ryk krów i zawodzenie osłów przerywa niekiedy monotonną cisz lądu, a nad morzem mają głos tylko mewy. Dzieci tutejsze również są poważne i nie umieją śpiewać. Człapią w drewnianych sabotach po asfaltowych drogach, pozdrawiają uprzejmie, chórem wołają nazwisko znajomego przechodnia, a chociaż odżywiane są dobrze i naogół zdrowe— czynią wrażenie upośledzonych. Chłop tutejszy — to przedewszystkiem sadownik, produkujący z kwaśnych, małych jabłek — powszechny na tej ziemi cidre. Z jabłek również robi się znakomitą wódkę: Calvados. Nazwa jej pochodzi od nazwy departamentu, a smak jej przypomina śliwowicę, od której jest jednak słabsza. Cidrem zapijały się długie pokolenia tego ludu, zapewne jeszcze od czasów Wilhelma Zdobywcy, i stąd, jak twierdzą znawcy — pochodzi tępota tego ludu, nieużytość i brak wyobraźni.

Wieczorem spotkać można poważne kobiety, jadące okrakiem na osiołkach, objuczonych paszą. Po obu bokach zwierzęcia połyskują olbrzymie, okrągłe, mosiężne dzbany z mlekiem. Kobiety te nigdy się nie śmieją. A nieraz w polu zjawia się stara baba z obliczem, jakby wykutem z tutejszego ponurego kamienia. W białym czepku, z kosą w ręku, samotna, bezzębna, z oczyma głęboko wpadniętemi — wygląda jak Śmierć.

Wszystko tu żyje i umiera w zwolnionem tempie. Nieruchomość, powolność, spokój. Wzdłuż owych pięknych falez, czyli pagórków nadbrzeżnych, pokrytych gęstą trawą lub łanami zbóż — całemi godzinami można iść i nie spotykać żywej duszy. Stare, opuszczone domy kamienne, których właściciele dawno wymarli bezpotomnie sterczą bez rachu wśród zieleni jak zwaliska grobowców. Do nikogo nie należą, nikogo nie kuszą. Jednak nie straszą: — tak bujna porasta je zieloność. Lasów tutaj niema, ale gęsto skupione fermy, bardzo zarzewione, czynią zdaleka wrażenie lasu. Wegetacja sięga aż do samego morza. Nad samem morzem kwitną późną wiosną jabłonie, nad samem morzem rośnie owies i pszenica. Nigdy wiatr od morza nie zakołysze drzew, położonych w głębi wsi, osłoniętych falezami. Tylko zachodni wiatr, lądowy, zwiastuje deszcze i burze. O sto kroków za morzem nie czuje się już jego obecności, jedynie zapach jodu, który tak obficie wydzielają algi — dociera niekiedy do lądów.

Czasem wędrowny teatr odwiedzi te wioski oddalone od kolei o kilkanaście kilometrów. Na asfaltowych szosach jawią si wówczas zielone wagony wagantów, którzy rozbijają namiot na głównym placu, lub w szczerem polu. Dyrektor teatru jest jednocześnie pierwszym i niekiedy jedynym członkiem swej orkiestry, i rozczulająco fałszywie gra na trąbie stare, zapomniane już w Paryżu melodje. Wyświetla on również osobiście jakiś przedwojenny zblakły film miłosny lub cowboyski, własnoręcznie kręci korbą i własnym głosem tłumaczy pozbawionym wyobraźni widzom treść obrazu. Żona jego jest jednocześnie kasjerką teatru, pierwszą naiwną i pierwszą balleriną, a córeczka ich, sześcio lub ośmioletnia, deklamuje, śpiewa i w czasie antraktu budzi współczucie widzów, przechadzając się wśród nich z tacą na pieniądze. Rankiem dnia natępnego, na miejscu, gdzie wczoraj huczała trąba, huczały śmiechy i rozbrzmiewały pieśni, gdzie acetylenowe lampy niosły światło w ciemne mroki — z Melpomeny niema już śladu. Chyba tylko tyle, ile zostawią konie, ciągnące po normandzkiej ziemi ubogie wozy Tespisa.

Ś. P.

ANIELA ZAGÓRSKA

ZMARŁA W WARSZAWIE

O CZEM ZAWIADAMIA PRZYJACIÓŁ I ZNAJOMYCH

Siostra



KAROL KLESZCZYŃSKI

ŁĄCZNOŚĆ NAWIĄZANA

Zjadliwie najeżają się spandau'mi niemieckie bunky. Ciemne oczodoły germańskich pilboxów wypatrują ofiary.

Bataljony wdzierają się w linje nieprzyjaciela. Wrzynają się krwawo kompanje, plutony, drużyny "Wilków" Dywizji Kresowej.

Ogień zaporowy Niemców trwa bez przerwy. Przerzedzają się szeregi "Wilków". Lecz nikt się nie zawahał, nikt się nie cofnął.

Noc na 12 maja, godzina 24.30.

Natarcie idzie na wzgórze Widmo. Kompanje posuwają się dwoma ścieżkami. Kompania 4 na prawo za nią pierwsza. Na lewo kompanja trzecia za nią druga. Szerokość natarcia około 500 metrów.

Patrole ścieżkowe wytyczają drogę. Droga jest ciężka i kamienista. Wysokie krzewy kolczastym podszyciem splątane. Teren usiany minami.

Idą w zmudnym wysiłku patrole łączności. Ciągną trzy linje. Za kompanjami czołowemi i dowódcą bataljonu. Odchodzą kable telefoniczne. Potworny ogień nieprzyjaciela rwie linje. Pociski ryją każdy metr ziemi.

— Trr... trr. — woła brzęczyk.

— Tu Ludwik, wysłać.. — urywa się łączność.

— Kogo wysłać, co wys... — męczy się telefonista szer. B.

Już biegnie łącznościowiec. Kontrol linji. Chyłkiem przewija się wśród krzaków. Potyka się o zabitych. Wokół niego rozrywają się pociski. W głowie szumią jęki rannych.

— Ratować, czy spełnić zadanie... — trawi go niepewność.

— Ale tam czekają setki jego kolegów na łączność.. — ktoś, jakby mu podpowiedział.

— Jest. — wykrzykuje sam do siebie.

Znajduje przerwę. Naprawia ją. Podłącza aparat kontrolny.

— Trrr... trr... tu Marjan. Okey..

— O key...

— Łączność nawiązana Czy na długo — martwi się biedny telefonista.

Wraca spowrotem. Podciąga się do przodu.

W połowie drogi jeszcze raz sprawdza linje. Wszystko gra.

— Roman woła Edmunda. Roman woła Edmunda... — nawiązuje łączność na radiostacji, najbardziej wysuniętej na czoło. — Roman...

Nie skończył. Pocisk trafia w radjostację. Radjooperator nie wydaje nawet jęku. Ginie na posterunku ze słuchawkami na uszach, z kryptonimem na ustach. Ginie śmiercią cichą, bez rozgłosu, śmiercią łącznikowca. Jakże często od niego zależą wyniki kampanji. Nie nosi karabinu, nie strzela z moździerza. Trzyma w swej pewnej dłoni tajemniczą machinę. — Podchwytuje fale, na których płyną meldunki, rozkazy, płynie los wielu setek żołnierzy.

— Ludwik woła Edmunda. Ludwik... — druga radjostacja zestraja się. Bez skutku. Radjostacje nagromadzone na wąskim pasmie wzajemnie sobie przeszkadzają.

Szum w słuchawkach, stek wywoływań miesza się z głuchym pomrukiem pocisków. Brzęczy z jazgotem wściekłych spandau'ow.

— Ti, ti, ti, ta.... — radjotelegrafista wyciska na kluczu rozkaz za rozkazem.

Znowu rwą się kable. Znowu wybiega patrol na sprawdzenie linji. St. szer. nie dochodzi. Nie odnajduje przerwy. Bezwstydna serja niemieckiego kaemu przeszywa jego serce.

Z kompanjami nie ma łączności. Działa jedynie linja od dowódcy i moździerzy.

Ogień nieprzyjaciela przerzedza szeregi plutonu łączności "Wilków".

— Nawiązać łączność z kompanjami... — pada rozkaz dowódcy.

Ponownie ruszają telefoniczne patrole. Ciągną nowe linje. Rozwijany z bębna kabel kładzie się wolno na ścieżce. Noc chłodna. Rumieńce jak czerwień róż wykwitają na licach młodych telefonistów. Niedawno jeszcze przybyli ze szkoły junaków. Byli za młodzi do wojska. Dziś dojrzali. Przechodzili bojowy chrzest, chrzest mozolny i bezlitosny.

Odzywa się karabin maszynowy Niemców. Tuż obok. Celny ogień przygniata do ziemi. Bije nisko ponad głowami. Patrol podczołguje się. Byle prędzej. Wykonać zadanie. Kpr. S. raniony zaczyna broczyć. Kilka zaledwie kroków. Zostaje.

Patrol dalej wykonuje zadanie.

Łączność z kompanją nawiązana.

— Widmo zdobyte... — biegnie meldunek.

Radość wykwita na zmęczonych twarzach. Łącznościowcy spełnili zadanie.

Podchodzą inne bataljony. Natarcie idzie. Nowe linje telefoniczne.

Nowe ofiary. Ofensywa trwa.

OPINJE I ZDARZENIA

PROSTA WZNIOSŁOŚĆ

Wśród poległych pod Monte Cassino bohaterów był też i por. Jan Scazighino, b. konsul w New Yorku, człowiek i Polak doskonały, który w każdej pracy, którą podejmował dawał wszystkie swe siły i możności, we wszystkich trudnościach życia odnajdywał nieomylnie drogę honoru i obowiązku. Zmarły pozostawił w ciężkich warunkach, bardzo trudnego życie ukochaną żonę i dziecko, dla których śmierć jego jest strasznym ciosem. I oto czytaliśmy w "Nowym Świecie" list pani Krystyny Scazighinowej, godny naprawdę jakiegoś Plutarcha nieznanych i skromnych bohaterów. Pani Scazighinowa prosi aby nie składać jej wyrazów współczucia, cios swój przyjmuje jako ofiarę, na którą każdy musi być gotów wobec Ojczyzny. Kto znał uczucia wzajemne łączące ją z poległym mężem ten wie jak to ofiara jest ciężka i skłania głowę przed bohaterstwem obojga.

WALKA Z RELIGJĄ W POLSCE

W chwili, gdy Niemcy, zagrożeni klęską na obu frontach, usiłują zachęcić społeczeństwo krajów okupowanych do współpracy, wmawiając im, że armje ich bronią cywilizacji przed nieładem i rozprężeniem — warto przypomnieć raz jeszcze, w jak straszliwym położeniu znalazła się religja i duchowieństwo polskie po wejściu "obrońców cywilizacji" na nasze ziemie.

Klkadziesiąt zakonów, istniejących w Polsce przed wojną, zniesiono zupełnie;; majątki klasztorne zostały skonfiskowane. Z ogólnej liczby około 14,000 księży polskich — do dnia 1 stycznia 1943 wymordowano w obozach koncentracyjnych lub rozstrzelano 3,500. W roku 1943 około 4,000 księży znajdowało się w obozach koncentracyjnych i więzieniach.

Na terenie całej Polski Niemcy zamknęli, lub zamienili na składnice i koszary 15,000 kościołów.

Już w początkowym okresie okupacjvi Gestapo objęło ścisły nadzór nad działalnością polskiego Kościoła Katolickiego. Władze Gestapo wydały księżom polskim na Ziemiach Zachodnich zakaz wygłaszania kazań, a nawet spowiadania po polsku. Cmentarze kościelne zostały objęte zarządem policyjnym; ustanowiono osobne cmentarze dla Niemców i Polaków, przyczem w niektórych miejscowościach zniszczono wszystkie nagrobki z polskimi napisami, nawet najstarsze. Niektóre kościoły również przeznaczone zostały dla Niemców, przyczem wstęp dla nich został Polakom surowo wzbroniony.

Zarządzeniem z dnia 11 maja 1942 roku "rząd" Generalnego Gubernatorstwa nakazał usunąć z ksiąg liturgicznych wszystkie zatwierdzone przez Rzym inwokacje do Matki Boskiej jako "Królowej Korony Polskiej". Takie określenie — jak dowodzą Niemcy — jest nie na miejscu, bo Polski niema i nie będzie. Zniesione także zostały święta Matki Boskiej a z kalendarzy skreślono wszystkich świętych pochodzenia polskiego.

Gestapo nie poprzestało na doszczętnem obrabowaniu kościołów i majątków kościelnych. Niemcy profanują szaty liturgiczne i przedmioty obrządku liturgicznego. Zrabowane po kościołach rzeczy puszczone zostały na "czarny rynek". Niemki skupywały w dużych ilościach ten "towar", który nie został objęty ograniczeniami kuponowemi. Jak pisze sprawozdawca z Kraju: "z ornatów, kap i obrusów kościelnych Niemki porobiły sobie makaty, kilimy, bieliznę osobistą, części garderoby, obrusy, pantofle..."

Męczeństwo księży w obozach koncentracyjnych, zrabowane i sprofanowane kościoły — oto plon okupacji niemieckiej na ziemiach Rzeczypospolitej.

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ

W jednym z nekrologów poświęconych oficerom SS., zgładzonym przez polski ruch podziemny, redaktor "Krakauer Zeitung" snuje następujące refleksje:

"Coraz częściej słyszy się określenie tego kraju pojęciem przedniej linji frontu. Gdy idziemy w smutku za trumnami naszych towarzyszy broni, którzy zginęli na posterunku, oddając życie za najdroższe nam wszystkim Niemcy, wtedy rozumiemy słuszność tego określenia. Polacy nieznają innego sposobu walki — jak tylko morderstwo. Strzelać, zabijać, mordować na lewo i prawo, to właśnie ich najmilsze zajęcie, to właśnie w tem przejawia się wyładowanie ich nienawiści w stosunku do nas. Największe niebezpieczeństwo jest jednak w tym, że oni **zachowują się tak jakby Polska w dalszym ciągu istniała.** W ich straszliwej niechęci do patrzenia rzeczywistości w oczy doszli już tak daleko, że jak za najlepszych czasów polskich, kwitują swoje morderstwa popełnione na żołnierzach Fuerera obwieszczeniami, rozlepianemi potajemnie na murach. Z zimnym cynizmem piszą w tych obwieszczeniach, że **wyrok wykonany został w imieniu Rzeczypospolitej..**"

Nie pierwszy raz Niemcy przyznają, że Polacy zachowują się tak, jakby Polska w dalszym ciągu istniała" i nie pierwszy raz stwierdzają w przerażeniu, że "bandyci" polscy wykonywują wyroki "w imieniu Rzeczypospolitej". Nawet na słynnej



W chwilę po dekoracji generała Andersa orderem Łaźni pod Monte Cassino

odprawie krakowskiej, na którą przyjechał Himmler, szef wydziału sprawiedliwości Gubernatorstwa Generalnego mówił obszernie o wyrokach wydawanych przez Polskę Podziemną.

Wyroków tych jest coraz więcej. Każde sprawozdanie krajowe, przysłane do Londynu, zawiera długą litanję nazwisk niemieckich. Szefowie Gestapo, kierownicy urzędów, dowódcy policyjni, komendanci więzień giną "za Fuehrera", skazani prawomocnymi wyrokami podziemnych sądów polskich.

Istnienie wspaniale zorganizowanych sądów Polski Podziemnej jest istotnie dowodem "zachowania się Polaków, jakby Polska w dalszym ciągu istniała..." **Te sądy, obok Armji Krajowej i prasy konspiracyjnej, są niezwykle potężną bronią Polaków.** Sieją one postrach wśród okupantów, nie pozwalając im ani na chwilę zapomnieć, że każda zbrodnia musi być pomszczona, że niewątpliwie oko sędziów polskich patrzy na ręce każdego zbrodniarza, że wreszcie niema przeszkód, którychby żołnierz Polski Podziemnej nie pokonał dla wykonania wyroku, wydanego przez polski wymiar sprawiedliwości.

Sądy podziemne działają sprawnie, wyroki zapadają po gruntownym zbadaniu sprawy, a struktura organizacyjna wymiaru sprawiedliwości dostosowana jest całkowicie do warunków okupacyjnych.

Wyroki są wykonywane w zadziwiająco szybkim tempie. Z reguły, skazany ginie w ciągu 24 godzin, po ogłoszeniu wyroku śmierci, bez względu na to, gdzie się ukrywa i jak jest chroniony. Nie są to jednak jakieś wyroki kapturowe, ferowane przez przygodnych ludzi. Poszczególne sprawy rozpatrywane są bardzo szczegółowo, nieraz przez dłuższy okres czasu. Oprócz kompletu sędziowskiego, w każdej rozprawie bierze udział prokurator i obrońca "z urzędu". Rozprawy przeprowadzane są w zakonspirowanych lokalach, chronionych przez posterunki Armji Podziemnej. **Nad głowami sędziów wisi godło państwowe.** W chwili wydawania wyroku, sędziowie wstają, rozpoczynając werdykt od sakramentalnych słów: —

W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej.

Wkrótce później na murach miasta, ukazują się małe kartki, zawierające treść wyroku i zakończenie słowami: "Wyrok został wykonany dnia...... o godzinie......

UZNANIE DE GAULLE'A PRZEZ POLSKĘ

Nie mamy dotąd ścisłych wiadomości co do uznania przez Polskę Komitetu Wyzwolenia w Algierze za Rząd Tymczasowy Francji. Najpierw czytaliśmy wiadomość że rzecz ta odbyła się uroczyście przy spotkaniu prezydenta Raczkiewicza z generałem de Gaullem — teraz wygląda na to, że owe spotkanie istotnie odbyte było tylko zapowiedzią aktu, który jeszcze z jakichś formalno-dyplomatycznych względów nie nastąpił. Nie należy z tem uznaniem czekać i bawić się w różne skrupuły bo czasy są nie po temu. Francja i Polska są stworzone aby się popierać, bo taka ich jest geografja; gdyby się rozumiały i popierały naprawdę przed wojną napewnoby do niej nie doszło. Generał de Gaulle ma taktykę, która krew psuje Amerykanom i Anglikom, ale walcząc o silną i naprawdę niezależną Francją jest on ich najcenniejszym i bardzo dalekowzrocznym sojusznikiem. Okazać zrozumienie dla wagi i stanowiska Francji teraz, gdy jest ona w niewoli i trudnościach — to pierwszy nakaz naprawdę politycznego rozumu. Gdyby Polska pierwsza uznała rząd de Gaulle'a — dokonałaby aktu zdolnego rozproszyć zastarzałe i bardzo szkodliwe na przyszłość nieporozumienia polsko-francuskie, rozrzedzić trujące politykę obu krajów kwasy. Inicjatywy panie ministrze praw zagranicznych! Polityka to jet sztuka przewidywania i wbrew temu co myślą niektórzy sztuka ryzyka tak samo.

NORWID NA FRONCIE WŁOSKIM

"Biały Orzeł" organ naszych drogich żołnierzy we Włoszech chce drukować prace o Norwidzie i przygotowuje przekład prozy Norwida na angielski, jest bowiem Anglik wojskowy, który bardzo się Norwidem interesuje i ma z pomocą Polaka dokonać tego przekładu.

Kto ma Mortkowiczowskie wydanie Norwida, albo tom jego prozy, albo poszczególne utwory — niech je prześle do "Tygodnika Polskiego". My zaś prześlemy zkolei do Włoch. Rzecz będzie zapłacona. Bardzo prosimy naszych czytelników aby nie lenili się i dowiedzieli się czy ktoś z ich znajomych albo jakaś bibljoteka nie mają tych książek. Drugiemu Korpusowi niczego nie mamy prawa odmawiać.



Widok na Monte Cassino w gruzach

BEFSZTYK PANA STETINIUSA

Podobno pan Stetinius, podejmując premjera Mikołajczyka miał powiedzieć między innemi w przyjaźnie żartobliwej mowie do niego skierowanej.

"Kiedy w czasie mego pobytu w Londynie zapytałem pana Mikołajczyka, co mógłbym mu ofiarować gdy będę gościł go w Waszyngtonie, nasz drogi gość odpowiedział: "Niech mi Pan da prawdziwy amerykański befsztyk". Jesteście dzisiaj panowie wszyscy świadkami że spełniłem daną panu Mikołajczykowi obietnicę".

Na co pan Mikołajczyk miał w swoim z kolei toaście odpowiedzieć: "Dziękuję bardzo naszemu drogiemu gospodarzowi za spełnienie moich życzeń, za befsztyk. Ale moje pragnienie na tem się nie kończy. Chciałbym aby cała Polska dostała taki befsztyk: i to właśnie od Ameryki".

Podobno jest to nie bene trovato ale vero.

"LILI MARLEEN"

Cały front europejski rozbrzmiewa teraz piosenką której koleje są bardzo niezwykłe: których opis zajmuje całe szpalty pism jak np. ostatniego numeru "Life". "Lili Marleen" jest to piosenka niemiecka, którą armja brytyjska wzięła niejako w niewolę i uczyniła z niej pieśń własną. Kolejno przełożyli ją Francuzi, Włosi, wszystkie armje: Amerykanie i żołnierze dominjalni śpiewają ją na całym obszarze afrykańskiego i włoskiego frontu. I oto Krukowski, ni mniej ni więcej tylko sam "Lopek" Krukowski przełożył ją na polski i śpiewa teraz jako "szlagier" czołówki, występującej na włoskim froncie:

W małym miasteczku, zniszczonym
ogniem dział
Oddział niemiecki kwaterę swą
miał.
Nocą mieszkońcom płoszył sen
Pijacki śpiew i refren ten
Nur du Lili Marleen,
Nur du Lili Marleen.

Gdzie tylko przeszli pozostał
krwawy ślad,
Grobów tysiące, a reszta
z poza krat
Słyszy od Wołgi aż po Ren
Triumfem brzmiący refren ten
Nur du Lili Marleen,
Nur du Lili Marleen,

Raz młody kapral usłyszał
piosnkę tę,
Gdy do niewoli niemieckich
jeńców wziął,
Kapral co włosy miał jak len
Powtórzył cicho refren ten
Nur du Lili Marleen.
To ty Lili Marleen.

I na postoju, gdy się skończył bój
Rozdał kolegom zdobyczny
refren swój
I brzmi we Włoszech, w górach hen
Po polsku teraz refren ten
To ty Lili Marlten,
To ty Lili Marleen.

Gdy zwyciężymy wszystko
odda wróg,
Gdy przekroczymy rodzinnych
domów próg
W ten wymarzony, piękny dzień
Zwrócimy chętnie refren ten
Ten refren o Marleen,
ten refren o aMrleen.

LEKCJA WŁOSKIEGO KRYZYSU

We Włoszech daleko jeszcze do spokoju i ustalenia się czegokolwiek trwałego. Fotografje, któreśmy temi dniami oglądali w pismach pokazują twarze naznaczone przez taką nienawiść i pagnienie zemsty, iż nie wydaje się nam aby można było coś dzisiaj przewidzieć we Włoszech choćby na najbliższą przyszłość. Żądanie Aljantów aby marszałek Badoglio został dopuszczony do udziału w rządzie— dość wymownie symbolizuje nieoczekiwane paradoksy kryzysu włoskiego i zapowiada najdziwaczniejsze jeszcze niespodzianki w całej Europie. Z tego co się dotąd stało można już przecież wyciągnąć ciekawe wnioski, które powinny wszystkim emigracjom dać do myślenia. Oto po zajęciu Rzymu — nie Sforza, wódz emigracji, upatrzony przez Aljantów na premjera, ale staruszek Bonomi został szefem rządu, został dlatego właśnie że był w kraju i jak to podkreślano szczególnie — w bardzo ciężkich warunkach oobistych opierał się faszyzmowi. Ten moment grać będzie napewno wszędzie i wszędzie liczyć będą emigracjom jej wygody, choć nie karygodne, ale przecież nie dające prawa do żadnych w przyszłości przywilejów, które należeć się będą napewno tym, co narażali się i cierpieli.